



Henryka Milewska

część I z II

Sygnatura notacji: N0283

Data urodzenia: 25.08.1925 r.

Data nagrania: 20.01.2010 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Konrad Starczewski

Czas nagrania: część I: 53 min, część II: 62 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryka Milewska: Nazywam się Henryka Milewska, z domu Drobik. Urodziłam się 25 sierpnia 1925 roku w Stanisławowie, a obecnie Iwano-Frankowsk. Cała moja rodzina i tak ze strony ojca, jak i ze strony matki, pochodzi z Kresów. Właściwie wszyscy stamtąd pochodzimy i tam większość poumierła. Tylko niedobitki dotarły do Warszawy i tutaj do centralnej Polski. Swoje dzieciństwo, właśnie tak jak powiedziałam, spędziłam w Iwano-Frankowsku, czyli w Stanisławowie, gdzie mieszkaliśmy do 1935 roku. Ojciec mój był policjantem. Już w czasie I wojny światowej jako ochotnik wstąpił do wojska austriackiego, a później, jak powstała nasza ojczyzna, pracował w żandarmerii, a później wstąpił do policji i tutaj do 1939 roku pracował. Wybierał się już na wcześniejszą emeryturę, bo taki był zwyczaj, że mógł przejść po 20 latach pracy na emeryturę i sobie tak wyobrażał, że właśnie w 1939 roku zakończy pracę. Niestety stało się inaczej. Ale wracając do sprawy, ze Stanisławowa przenieśli ojca do Brzeżan, obecnie Biereżany, województwo tarnopolskie. Tutaj byliśmy, mieszkaliśmy tylko trzy lata, bo ojciec prowadził różne sprawy. Wprawdzie był stosunkowo na niskiej funkcji funkcjonariuszem, ale prowadził sprawy polityczne i dwukrotnie był na niego zamach w Brzeżanach, tak że trzeba było go z tego terenu usunąć i już w 1938 roku przenieśli go z kolei do Kamionki Strumiłowej pod Lwowem, gdzie zastała nas wojna. Ja wtedy w tym czasie ukończyłam dwie klasy gimnazjum i w 1939 roku właściwie szykowałam się do przejścia do klasy trzeciej. Niestety już mi tego niesądzone było. Muszę chwileczkę, dobrze?

Konrad Starczewski: Dobrze.

Henryka Milewska: W 1939 roku zdążyłam jeszcze być na obozie harcerskim, bo byłam w ogóle wielką działaczką już wtedy harcerstwa. I byłam nawet drużynową zuchów w szkole podstawowej, sama będąc uczennicą

gimnazjum. Z tym, że obóz niestety przerwano, bo już zanosiło się na wojnę i odwołali ten obóz, przyszedł rozkaz ze Lwowa kończyć i młodzież odstawić do miejsca ich zamieszkania. Pierwsze dni wojny oczywiście przeżyliśmy strasznie. W ogóle młodzież sobie nie zdawała sprawy. Traktowaliśmy to... Wprawdzie wysyłali nas na kopanie rowów kazano zaklejać okna, ale myśmy to raczej traktowały jako pewnego rodzaju przerwa w normalnym życiu. Niestety pierwsze bombardowania, na przykład Kamionki, gdzie zginął jeden i drugi obywatel, i ojca jeden z najbliższych kolegów, dały o sobie znać i wiadomo było, że jednak bardzo źle się dzieje. W pierwszych dniach września przyszedł rozkaz, że cała policja ewakuuje się w kierunku Rumunii i wtedy oczywiście zostaliśmy z mamą same. Zostaliśmy same, z tym że ojciec polecił nas takim sąsiadom, którzy mieli sklep, którzy mieli konie, którzy mieli nas z sobą zabrać w czasie ucieczki z Kamionki na wieś. I myśmy rzeczywiście z tym państwem, którzy się nazywali Kokodyńscy wywędrowałyśmy tam, byliśmy chyba dziesięć dni na wsi, a jak wróciliśmy, to się okazało, że ojca już nie ma, bo policja została z Kamionki ewakuowana, a wróciliśmy do Kamionki, nie mając nikogo znajomego, będąc zupełnie same i zdając sobie sprawę, że jakiś okropny czas dla nas nastąpił. Wkroczyli Rosjanie. Wkroczyli Rosjanie i zaraz bodajże po tygodniu pojawił się u nas oficer NKWD z żoną i oświadczył, że to mieszkanie jest mu potrzebne i my mamy w ciągu 24 godzin wyprowadzić się. Jego nie obchodzi gdzie. Mamy opuścić mu mieszkanie, bo on tu się sprowadza. Oczywiście byliśmy w rozpacz, gdzie się podziejemy i dach nad głową. Rodzina daleko, my tutaj jesteśmy same. Ale przyszli nam z pomocą rodzice mojego kolegi szkolnego. Przyszli do nas i powiedzieli, że zdają sobie sprawę z naszej sytuacji i wobec tego możemy się do nich przeprowadzić, do ich wspólnego mieszkania, gdzie znajdziemy jakiś dach nad głową. Ale nim to nastąpiło, wrócił ojciec. Pewnego późnego wieczora pukanie, ojciec z drugim kolegą zdecydowali się wrócić. Byli już prawie gdzieś na granicy rumuńskiej, ale doszli do wniosku, że jednak trudno... zdają sobie sprawę, że jak my sobie damy radę na nieznanym terenie, tak jak ojciec tłumaczył, pójdę do pracy, jako mężczyzna zarobię, jakoś będziemy żyli, bo sobie nie wyobrażaliśmy, jak to może być. Ojciec był w domu chyba dziesięć dni, więcej nie. I któregoś wieczoru, jeszcze mieszkaliśmy u siebie wtedy, ten Rosjanin zapowiedział, że mieszkanie będzie potrzebne, ale nie zgłaszał się przez najbliższe dni. Tymczasem przyszedł Ukrainiec, milicjant pewnego wieczoru, twierdząc: „Pan musi dzisiaj z domu uciekać. Po pana dzisiaj w nocy przyjdą. Pan tam coś dobrego mi kiedyś zrobił, ja mam jakiś dług wdzięczności wobec pana, wobec tego czuję potrzebę uprzedzenia pana, że pana będą aresztować”. I tu znów problem, gdzie w nocy pójść w nowym miejscu, gdzie mieszkamy, nikogo nie znamy. I on mówi: „To ja wezmę pana do siebie, a w międzyczasie rodzina będzie coś załatwiała, żeby pana gdzieś umieścić. I rzeczywiście ojciec poszedł do niego, co się okazało zresztą wielkim błędem na przyszłość. Nie miał nawet co ubrać, bo tak, w mundurze nie mógł pójść, w płaszczu, cywilne ubrania nie były przygotowane na takie... A to zima jednak. Zima 1940 roku, która była bardzo ostra. I ojciec przebywał u tego człowieka do stycznia. W międzyczasie Rosjanin sobie o nas przypomniał i kazano nam bezwzględnie natychmiast opuścić mieszkanie. Sąsiedzi nam pomogli, przenieśliśmy się do tych państwa, którzy zgłosili chęć nas przyjęcia pod swój dach. Był to dla nas bardzo ciężki okres, bez środków do życia, bez mieszkania, bo w zasadzie trudno było nazwać mieszkanie, kiedy ktoś przyjął nas kątem i mieszkaliśmy na werandzie wtedy, kiedy na dworze mróz sięgał powiedzmy 15-20 stopni, bo tylko tak mogli nam zapewnić takie mieszkanie. Poza tym świadomość tego, w międzyczasie ojciec aresztowany. Wobec tego, co będzie dalej z ojcem? Codziennie idąc do szkoły, bo jednocześnie wtedy już uruchomiono szkoły i według nowego systemu, jaki wtedy obowiązywał, zamiast do trzeciej klasy, poszłam do siódmej klasy szkoły podstawowej, bo tak się zmieniło i tak nas zakwalifikowano. Więc rano idąc... Aha, nauka była obowiązkowa. Wobec tego rano idąc do szkoły, szłam, wstępowałam do więzienia, żeby zanieść ojcu jedzenie. Dlatego, że prawie że ich nie żywili. Tak jak były sy-

gnaty z więzienia, bo o tym, żeby tam pisali, to nie było mowy, to byli głodni i właściwie poza jakąś tam lurą, niczego im do jedzenia nie dawali. Wobec tego trzeba było o świcie, o godzinie 5:00 pójść w kolejkę, żeby zdobyć kawałek chleba. Z tego część ojcu zaniósł do więzienia, niosł do więzienia i do tego gotowało się jakąś zupę, bo w me-
nażkach można było przynosić jakieś placki ziemniaczane. Na nic więcej nas oczywiście nie było stać. A wracając ze szkoły, wstępowało się do więzienia i oddawali to naczynie, w którym się przynosiło jedzenie i to było jedynie, co więźniowie właściwie otrzymywali, to to, co im z domu ktoś przyniósł. I tak leciały dni, zima była ostra, było bardzo nam ciężko, a w ogóle idąc do szkoły, nieraz nie docierało się nawet do szkoły, dlatego, że gdzieś kolejka stała. Po co? Bo zapatki przywieźli, bo przywieźli jakieś tam niepotrzebne nikomu rzeczy, ale się kupowało, bo może to się przydać, bo sklepy były zupełnie puste. I tak pewnego dnia moja mama dostała wezwanie do NKWD. Oczywiście najpierw się przeraziłyśmy i mama mówi: „Musisz pójść ze mną, bo nie wiadomo, czy mnie aresztują, może mnie już nie wypuszczą, żebyś znała mój dalszy los”. I rzeczywiście byłam w Kamionce w tym sądzie, bo to w gmachu sądu NKWD się mieściło i po wyjściu, mama wyszła wzruszona, mówi: „Zobacz, tacy źli, taką krzywdę robią ludziom, ale jednocześnie jakieś odruchy ludzkie mają”. Bo mnie poprosili, żebym zostawiła im adres, gdzie mam rodzinę, że jeśli będzie jakaś okazja, to nas odeślą do rodziny, bo sobie zdaje sprawę ten komandier, który ze mną rozmawiał, jak nam tu musi być ciężko, bo my tu nikogo nie mamy. A to chodziło o to, żeby zdobyć nasz adres. Gdybyśmy z tego terenu zniknęły, gdzie nas należy szukać, ale odebrałyśmy to, że jednak jakiś odruch ludzki jednak w nich jest, martwią się, co z nami będzie. I tak dożyliśmy w tych warunkach do 21 marca. Jeszcze nie powiedziałam, że ojciec był aresztowany w styczniu, bo ja nie doszłam do tego, w styczniu i to był we wsi przed tym Zaburze i stamtąd przybiegła jakaś kobieta, żeby nas zawiadomić, że ona mieszka po sąsiedzku i widziała, jak ten milicjant, który ojca ukrywał, ten Ukrainiec, przyprowadził pod dom enkawudzystów, wskazał ten dom i sam się wycofał, czyli on po prostu ojca wydał. Wykorzystawszy to, co tylko od nas udało mu się w międzyczasie wyciągnąć, bo przychodził wciąż i po prostu to mu potrzebne, tamto potrzebne, brał, co mu się podobało, nikt by nie miał odwagi mu odmówić tego, co mu się podobało. I ona właśnie nas zawiadomiła, że ojca aresztowali. I tam ojciec był w więzieniu do 21 stycznia. 21 marca. Od stycznia do 21 marca. 21 marca szłam ze szkoły i właśnie przechodziłam koło sądu, koło tego NKWD, które tam w danym momencie się mieściło i patrzę, że grupki ludzi tak po bramach stoją, więc oczywiście, co się dzieje. A był sygnał tutaj z więzienia, że mają wywozić transport więźniów. Oczywiście nie poszłam już do domu, zostałam stać razem z tymi przygodnymi ludźmi, którzy tam byli. Czekaliśmy chyba z pięć godzin. Już się robiło ciemno, mroźno, okropnie śnieg padał. I w pewnym momencie zaczęły podjeżdżać sanie pod to więzienie. Oczywiście enkawudziści zaczęli odpędzać ludzi, ale tłum jak to tłum, który ten się zebrał, starał się jak najbliższej podejść i wyprowadzili ich. Było ich może 12., może 15. Dzisiaj z perspektywy lat już mi trudno to powiedzieć. W każdym razie do saní posadzili po dwóch więźniów. Koło woźnicy siedział milicjant cywilny, a z tyłu żołnierz z karabinem w ich plecy. Przechodząc koło nas, bo w międzyczasie mama przybiegła, bo w takim małym mieście ta wieść się rozchodziła szybko, przybiegła i ojciec przechodząc koło nas, powiedział: „Przyjedź do Lwowa”. Chciał widocznie w ten sposób zasygnalizować, że wiozą ich do Lwowa. Rzeczywiście po dwóch czy trzech dniach mama z moją starszą koleżanką, której ojciec był, Bursztynowicz, też aresztowany i razem wywieziony, pojechały do Lwowa, obeszły wszystkie więzienia i wszędzie dowiedziały się, że takich nie ma tutaj. Ślad zaginął, to było ostatnie moje widzenie ojca i ostatnie słowa, jakie powiedział do nas. Mimo, że upłynęło tak wiele lat, ja wciąż jeszcze pamiętam ten moment, kiedy ojca prowadzili i ja zaczęłam spazmatycznie płakać. I stary człowiek, Ukrainiec, którego do dzisiaj pamiętam i wspominam go, i niejednokrotnie się za niego modliłam, który wtedy podszedł do mnie, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Nie płacz,

dziecko. Ich Bóg ciężko skaże za to, co oni robią". Ja temu człowiekowi, który dawno, dawno umarł, wciąż te słowa pamiętam. To były jedyny odruch jakiś taki ludzki. A ojca bardzo kochałam i do dzisiaj go Kocham, mimo to, że minęło tyle lat. I tak dożyliśmy do 13 kwietnia 1940 roku, kiedy to właśnie w szkole była wywiadówka i moja mama z naszą gospodynią, której synowie również chodzili do tej szkoły, poszły na wywiadówki i wróciły wieczorem strasznie zdenerwowane, że coś się w mieście dzieje, że jest taka masa furmanek, koni, ludzi. Taki ruch jakiś na mieście. To małe miasto, wieczorem normalnie nic się nie działo, a tutaj coś takiego. Okazuje się, że to się szykowali do wywózek już. W międzyczasie był ten lutowy wywózek, ale to bezpośrednio u nas. Kamionki nikogo nie wozili, wywozili, bo to osadników wtedy zabierali, a wtedy 13 kwietnia, właściwie powinnyśmy były być jakieś uczulone i się przyszykować do tego... Ale mówiło się tak: „Boże, zabrali mężczyzn, a co my im zawiniłyśmy?”, więc nikt nie wierzył w to, że mogą nas też zabrać. I wieczorem położyliśmy się spać, gdzieś wpół do dwunastej jakieś nagle psy szczekają, coś się dzieje, furmanki. Okazuje się, że... łomot do drzwi, przyjechali po nas. Wszedł oficer NKWD, dwóch z milicjantów, żołnierze i dwóch milicjantów. Okazuje się, że przyszli po nas. Odczytali nam wyrok czy jak to określić, to rozporządzenie, że nas ewakuują w głąb Związku Radzieckiego. Byłyśmy w bardzo ciężkiej sytuacji, dlatego, że wtedy, kiedy człowieka zabierają z domu, to ma te rzeczy pod ręką. Tutaj wtedy, kiedy nas rozparcelowali już ci gospodarze i na strychu były rzeczy, i gdzieś, no, upchane po prostu nasze do ich wspólnego mieszkania, więc zapakowanie w nocy, wtedy, kiedy człowiek był roztrzęsiony, zdenerwowany, a trzeba pamiętać, że ja miałam 14 lat, więc ostatecznie... A mama wprawdzie 35 lat, ale też już zaliczone takie przeżycia, że trudno było oczekiwać od niej jakiegoś rozsądnego działania, bo byłyśmy zagubione zupełnie. Więc zaczęło się zbierać jakieś rzeczy. Można było wziąć, powiedzieli, 100 kilogramów na osobę, czyli nam przysługiwało wziąć z sobą 200 kilogramów. To myśmy nawet 100 nie wzięły, bo po prostu te rzeczy były dla nas niedostępne. Może gdyby w dzień, gdyby człowiek w dzień szykował, to tak, ale... I dali nam na to godzinę czasu. Siedział... W międzyczasie zrobili rewizję, znaleźli w naszych dokumentach, bo wszystko było przecież polikwidowane, ojca rzeczy były zlikwidowane w ogóle. I znaleźli jako jedyne dokumenty przeciw nam świadczące, to życiorys Mościckiego był u mnie i jakąś polską książkę historyczną, zakwestionowano, już w tej chwili nie pamiętam nawet jaką, a przecież książek było dużo, to tą zakwestionowali, stąd został spisany protokół dokumentu, którego nie powinniśmy posiadać. I w nocy na wóz... To jeszcze było strasznie ślisko i to jeszcze mimo to, że to 13 kwiecień, to taka była zmarznięta ziemia i jeszcze sanami wiem, że... Śniegu już prawie nie było. To przecież taka pora roku. Ale saniami do dworca nas dowieźli, gdzie był przygotowany transport. Podjeżdżali pod wagony, przrzucali te rzeczy. Jak wagon się zapełnił, plombowali i koniec. I myśmy w nocy znalazły się w tym wagonie, gdzie nas było około... tak jak ja... Mam wykaz zrobiony zresztą, było nas chyba 54 osoby w tym wagonie. Myśmy dostały się na górną półkę przy okienku takim małym zakratowanym. Cieszyłam się, że choć przynajmniej będę miała jakąś widoczność przez to okienko, które się okazało, że później potworne miejsce, bo było tak strasznie zimno, bo to było nieoszlone i w tym transporcie jechaliśmy 18 dni. Z tym, że transport stał całą noc i cały dzień, bo dowozili z okolicznych miejscowości ludzi. Wagony były zamknięte, więc od razu tu na miejscu potrzeby fizjologiczne załatwiała się w dziurę, która była w podłodze wycięta. Z tym że ktoś tam od razu postanowił, koc zawieszono, żeby jakiś intymny kącik, który zresztą w czasie drogi nie zdawał egzaminu, bo wiatr, który wiał, to zrywał bez przerwy. I tak rano następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Droga nasza wiodła przez Łuck. A to mi się tak bardzo upamiętniło, bo dopiero w Łucku wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że właściwie przed nami powrotu chyba nie ma. Dlatego, że w Łucku przyjechał ksiądz, chyba z organistą, który szedł wzdłuż wagonów. Oczywiście jego nie dopuszczali. Szedł tak daleko od każdego wagonu i udzielał absolicję tym, którzy... I wtedy dopiero powstał tak

szloch, właściwie tam transport był duży, ile było wagonów, trudno powiedzieć, w każdym razie były trzy lokomotywy. Na początku, na końcu i w środku, więc musiał być bardzo długi ten skład pociągu, którym nas wieźli. I powieźli nas do Zdołbunowa. W Zdołbunowie przesadzono nas na inne tory, bo to przecież szerokość torów była już za granicą inna i tutaj sobie dopiero zdaliśmy sprawę, że już koniec. Wtedy każdy powiedział, no, już właściwie nic innego nas nie może spotkać, na nic nie możemy liczyć. I właściwie całą drogę, to... Droga ograniczyła się do tego, że ludzie modlili się, śpiewali, mimo to, że tam byli... Mężczyzn było mało, było chyba pięciu mężczyzn, a reszty kobiety i gromada dzieci. Na przykład górnej tej półce, na której myśmy się znalazły, była pani, która miała pięcioro dzieci. Najmłodszy dziewięć miesięcy, najstarszy sześć lat. Oczywiście jeść nam nie dawali. Raz na dobę i to nie zawsze, i to w nocy, obowiązkowo jak coś, to dojeżdżaliśmy gdzieś do jakiejś bocznej stacji w nocy i wtedy łomot, otwierali drzwi i dwie osoby po żywność. Ta żywność to wyglądała tak, że wiadro kipiaczku, gorącej wody i w drugim wiadrze trochę jakiejś kaszy, pęczaku na przykład i bochenek chleba na te 58 osób. Więc dorośli, rozumiejąc sytuację, każdy usiłował, co mu tam przydział dostał, to zjeść. Ale proszę sobie wyobrazić nakarmić 9-miesięczne dziecko pęczakiem w nocy zimnym. Ani kuchenki, ani piecyka, żeby to zagrzać, więc to było wszystko... Te dzieci od razu po drodze zaczęły wymierać. W naszym wagonie szczęśliwie żadne dziecko nie umarło. Jakoś tak się szczęśliwie złożyło, ale w ogóle to po drodze umierało bardzo dużo, zwłaszcza starzy ludzie i dzieci małe takie. Bo dla nich to był szok dla organizmu przecież takie warunki. Było jeszcze zimno, bardzo. I podróż trwała 18 dni. 1 czerwca dotarliśmy do Pawłodaru, z tym, że myśmy wtedy jeszcze nie zdawali sobie sprawy, gdzie my jesteśmy, bo właściwie nikt z nas nie miał mapy, tylko tak po kierunku pociągu, po wschodzie słońca ludzi mniej więcej się orientowali, gdzie nas wiozą, miasta mało kto jeszcze znał wtedy. Dzisiaj to już się człowiek bardziej orientuje, ale wtedy jakieś tam miejscowości, które mijaliśmy, to niczego nam nie dało. Zaszokował nas widok Uralu. Ural był piękny, rzeczywiście to podziwialiśmy ten przejazd przez Ural. Ale można było podziwiać i na tym się kończyło. I w końcu któregoś dnia takiego postoju... Aha, po drodze jeszcze spotkaliśmy taki transport kobiet, które jechały do Władywostoku na robotę, Rosjanki. I one tak to się miło w naszej pamięci upamiętniły, bo to była Wielkanoc rosyjska. I one miały... pozbierały wśród siebie jajka i do każdego wagonu wkładały po jajku. Tak chciały nas ugościć, nie miały czym, ale tym jajkiem to tak sobie, jak mówię, zdobyły naszą wielką sympatię, że one o nas pomyślały. I nareszcie któregoś ranka stoimy gdzieś na bocznej, całą noc staliśmy na boczniczy, nic nie widać i nagle ktoś mówi: „Słuchajcie, patrzcie, tam wielbłądy idą”. Rzeczywiście transport wielbłądów. No, gdzie nas przywieźli, gdzie wielbłądy. Okazało się, że wylądowaliśmy w Pawłodarze i to był 1 maja. Wobec tego na ciężarówkach ubranych czerwonymi chorągwiami przyjechały kobiety, które przywiozły chleb nam wreszcie. I tam już nie pamiętam po ile tego chleba, ale w każdym razie każdy dostał kawałek chleba na przywitanie i to te kobiety rozdawały, z racji 1 maja takie święto nam urządziły. W dniu, kiedy dotarliśmy do Pawłodaru, to był akuratnie 1 maja. Przywitały nas kobiety rosyjskie, tak rozdając nam po kawałku chleba. Więc wielkie święto, oczywiście samochody udekorowane czerwonymi chorągwiami, nas załadowali i powieźli w step. Miasto było... Miasto zrobiło na nas dziwne wrażenie. To było małe miasteczko, takie położone w stepie. Tu tak jak teraz widziałam, bo miałam okazję obejrzeć zdjęcia, to tam jest i lotnisko, i stacja kolejowa. Wtedy to była w ogóle jedna wielka rozpacz. To było... Składało się z kilkunastu domów piętrowych, jedno czy dwupiętrowych, a reszty to były ziemianki po prostu budowane z darni, domy, w których mieszkali Kazachy. Rosjanie mieszkali w tych domach murowanych, oni mieszkali... Więc właściwie nie było nic. Był szpital, były jakieś tam biura i... Ale myśmy tylko przemknęli przez to miasto i pojechaliśmy dalej w step, bo zaczęli nas rozwozić po miejscach pracy. Przydział dostaliśmy do sobchozu Czorne. Tak to się nazywało. Czorne, położony 97 kilometrów od Pawłodaru. Komunikacji żadnej

nie było z miejscem, tylko wydeptana, wyjeżdżona stępem droga, więc nie było normalne. Aha, i słupy elektryczne szły. To było jedyne, wskazywało kierunek. Nic poza tym nie było. Przywieźli nas do Czornego. Tłumy też, większość, parę domków zaledwie drewnianych, ale to jeszcze z tych carskich czasów, kiedy... Bo tam drzew w ogóle nie było, więc to wszystko stępy gołe, na których nic nie rośło, tylko... I większość budynków to właśnie, ja mówię ziemianki z darnie, bez dachu, z płaskimi dachami, które były pokryte gałęziami wycinanymi nad Czorno, bo tam rzeczka Czornej nad Irtyszem. I na to przesypane popiołem. I to był utwardzany w ten sposób dach, który miał chronić przed deszczem. I w tym mieszkali Kazachy. I oni właściwie byli zadowoleni, bo oni kiedyś z jurty przenieśli się do tych po prostu ziemianek swoich. Pod kantor, którym nas... zgrupowali nas przy kantorze i tam wszyscy mieszkańcy przylecieli. Jak się później dowiedzieliśmy, to wszyscy biegli patrzeć. Mówią, że przywieźli polskich panów. „Jak te pany wyglądają?”. Tak jak one, później kobiety tam nam objaśniały. I okazało się, że były rozczarowane, bo było paru mężczyzn, a reszta to brudne, zmęczone, obdarte, bo już w międzyczasie się te rzeczy, prawda, były tak nieświeże, to wyglądało na... Choć nie było podarte, ale marnie to wyglądało. I nie mogły się nadziwić, że tak wyglądają, bo oni sobie wyobrażali, że takich burżujów przywieźli, a tutaj grupkę takich ludzi. Nas było sto parę osób, w tym sowchozie nas wyładowali. Z tym, że to byliśmy tam tylko chyba dwie czy trzy godziny bo zaczęły podjeżdżać furmanki zaprzężone w woły i rozwozić po kołchozach i po fermach. Bo na przykład sowchoz Czorne, do którego myśmy trafili, miał siedem ferm. Fermy to takie budyneczki w stepie, gdzie mieszkaly 2-3 osoby i były takie niby baraki właśnie, w których trzeba było... I głównie sowchoz zajmujący się hodowlą owiec. To było główne... Myśmy trafiły na trzecią fermę, parę rodzin. Parę kobiet, bo tam było chyba dwóch mężczyzn w naszej grupie, która tam się trafiła. Dwóch synów jednej pani, a reszta to były dzieci i kobiety. Nasza ferma... nasza, no, którą nam przydzielono, do życia miejsce, znajdowała się siedem kilometrów od Czornego, od sowchozu samego. Była wieś, w której było, ja wiem, może około 20 lepianek i koszary, których stały stada owiec, bo tylko tym się właściwie ci Kazacy zajmowali. Wieś była położona od Irtysza o siedem kilometrów. Wieś położona na wysokim brzegu. Na dole płynęła rzeczka Czorna, a dalej właśnie Irtysz. Na wiosnę Irtysz wylewał, to już podchodził pod samą wieś, tak że wszystko było jak jedno wielkie morze, wszystko było zakryte wodą. Na wiosnę woda ustępowała i wtedy piękne łąki powstawały na tym zalewowym terenie, dokąd upały nie wysuszyły, wszystko względnie zebrało się dla... nie skosiło się. Pierwsze pracowaliśmy właśnie przy baranach. Dostawało się stado, 250 owiec matek i 250 dzieci, i właściwie polegało na tym, że trzeba było cały czas pilnować, żeby jedno małe baraniątko, owieczka nie zginęła, bo wtedy, jeśli by zginęła, to trzeba było zapłacić za tę owcę zagubioną. Tak że właściwie o tym, żeby... Niby wydawałoby się sprawa prosta, ale cały dzień na nogach, bo nie można było tego stada na moment spuścić z oczu. Z tym, że ja tam pracowałam tylko chyba dwa miesiące, bo później trawa się skończyła, wyschła, stado poszło w step dalej, a nas wysłali na pasznię. Pasznia to są pola, to są tereny, które trzeba było kosić, ale po stronie już stepu. Nie Irtyszu, tylko na wysokim brzegu, który trzeba było szybko chwycić, bo ta trawa była niewielka i bardzo szybko wysychała, więc od razu wyjeżdżało 7-8 traktorów i właściwie od świtu do nocy koszone. Ja pracowałam jako prycepszczyk. Prycepszczyk to obsługa maszyn. I każdy traktor miał trzy maszyny, na których siedział taki prycepszczyk i miał obowiązek, bo kamienie to podnosić, kosę upuszczać, kosę... Cały dzień, od świtu do nocy, w strasznym upale, bo jednak tam te lata były bardzo suche i bardzo gorące. Właściwie jedyna możliwość napicia, to była beczka z wodą, która stała na skraju każdego odliczonego kawałka do zorania i tam traktory uzupełniały wodę. Więc wobec tego to był z olejami, z wszystkim, bo przecież te wiadra brudne. To była jedyna możliwość napicia się. I przerwa w południe na godzinę, na jakąś zupinę, którą rozwozili po stepie. Chleb dostawało się rano. Pół kilo, który musiał wystarczyć na cały dzień. Tak trzeba było sobie

podzielić. Jak ktoś zjadł naraz, to później resztę dnia już był głodny, bo nie było co jeść. Zupy to były przeważnie albo z kwaszonych pomidorów, bo pomidory nie dojrzewały, więc były pomidory takie niedojrzałe, które zakwaszali. I kasza jaglana. O, jedyna kasza, którą uznawali, to jagłę i nic więcej do jedzenia. Tak że było bardzo ciężko. Pracowaliśmy bardzo ciężko. Jednocześnie opłata była groszowa. Jeśli ja za całe lato zarobiłam 250 rubli, a w jesieni mogłam kupić za to 2,5 wiadra ziemniaków czy na przykład 2 wiadra otrębów, to sobie można wyobrazić. Wszystko się wydzierało, rzeczy się wydzierały. Właściwie już po roku nie bardzo było w co się ubrać, nie było co na siebie założyć. Z tym, że najgorsza to była zima. Przyszła zima po całej letniej pracy w stepie przewieźli nas na tę firmę, właśnie gdzie mieliśmy miejsce przeznaczone do mieszkania i okazało się, dostałyśmy przydział, trzy rodziny, taką lepiankę, która się składała z dwóch takich pomieszczeń bez drzwi, niepołączonych, niezamkniętych drzwiami. Tylko wejściowe drzwi były. I miała cały narożnik obwalony, bo obok były stajnie, do których szło bydło i ocierało się o te narożniki. Wobec tego ziemia zamarznęta i nie było już czym, nie było możliwości, żeby to zakleić, więc upchane szmatami jakimiś, słomą te narożniki. Więc pierwsza zima była straszna. Że myśmy tam nie zamrzli, to dzisiaj trudno sobie to wyobrazić, jak myśmy to przeżyli. Nie było pieca. Raz, że nie było czym napalić, ale poza tym nawet gdyby było czym, to nie było gdzie. Bo ci, którzy mieszkali poprzednio, tam były takie murowane przy ziemi piece, które miały ogrzewać ścianę jednocześnie budynku, tego pomieszczenia. Jak rozebrany był piec i wyrwany kocioł, który tam był kiedyś murowany, to później już nie było jak zapalić, więc nawet, gdyby... Ale nie było czym palić, bo właściwie mieszkańcy palili tylko kizakiem, a kiziak to suszony nawóz bydlęcy. I to trzeba było mieć krowę, żeby zbierać przez lato ten opał. Wysuszyć, żeby mieć czym palić. Nie mieliśmy krowy, wobec tego nie było tego opału. Drzew żadnych, krzaków żadnych. I trzeba było iść na koniuszne, a koniuszna to tam, gdzie stało bydło państwowe, i ukraść trochę naskubanego trochę, przeżutego siana. Takiego, które już się nie nadawało dla zwierząt. I tym można było podpalić i zagrzać sobie jakąś wodę. To dzisiaj trudno przekonać i trudno o tym opowiadać w ogóle. Ja, jak nieraz jeszcze mama żyła, coś rozmawiałyśmy, to mówię, jak to możliwe, że myśmy to wytrzymali? To było w ogóle nie do pomyślenia, że można w takich warunkach przetrwać, a jednak przetrwaliśmy, bo bez przerwy tylko trzymała nas na duchu modlitwa. Bez przerwy tylko się modliliśmy i śpiewaliśmy, wtedy, kiedy już zdawało się, że już właśnie nie powinniśmy chodzić, to my jeszcze śpiewaliśmy i modliliśmy się. I to nas przytrzymywało przy życiu chyba. I tak przetrwaliśmy tę zimę, a na wiosnę to już znów trochę było lżej, bo słońce przygrzało, poszło się w step, się pracowało. Jakie jedzenie dali, takie dali. Coś tam się zjadło. I tak przeżyłyśmy tam na fermie dwa lata. A po dwóch latach zostałam, powiem, w jakich warunkach zresztą, wzięta na kurs traktorzystów do Czornego, tam do sowchozu. A już nie mogę. Więc było bardzo ciężko i tę zimę jakoś przeżyliśmy. Na wiosnę poszło się w step, znów jakoś i do zimy. Zima była dla nas przerażająca z myślą, że mamy tu jeszcze żyć i jak to będzie się w ogóle żyło. A, właśnie, można było coś zdobyć, kupić, ale to była kwestia przejścia X kilometrów. Najbliższy kołchoz był położony siedem kilometrów od nas. Buran zasypał drogi. W ogóle świata nie widać. Domy w ogóle ludzie bali się opuszczać, bo wystarczyło, żeby pójść za krawężnik domu, jak już nie było gdzie wrócić. Były niejednokrotnie przypadki, że krowa czy cielę, ich, bo myśmy nie mieli, wyszło ze stajni, poszło za róg i na wiosnę znajdowali zasypane śniegiem i zamarznęte, bo już nie wróciło do domu i nie byli w stanie go odszukać. Wobec tego teraz trzeba było wziąć na plecy worek z jakąś rzeczą, bo na kołchozie można było sprzedać, ale za garstkę czegoś zamienić, bo to tylko nie sprzedać, tylko wszystko na zamianę szło. Tylko można było zamienić. I wtedy właśnie jednego dnia, tej następnej zimy szłam do Czornego właśnie po jakieś, nazwijmy to zakupy, żeby coś zamienić, żeby coś zdobyć do jedzenia. I zaczął się już buran, zaczęło być ciemno, wiatr, śnieg sypie i nagle już pod samą fermą prawie dopędziły mnie sanie, w których jechało

dwóch mężczyzn, piękne konie, to znaczy, że ktoś, jacyś miejscowi dygnitarze. Pytają się: „Gdzie idziesz, dziewczynko?”. Ja mówię: „Do sowchozu, do fermy wracam z Czornego”. „To siadaj, to cię podwieziemy”. Więc usiadłam. I pytają się: „A gdzie pracujesz?”. Mówię: „Nie pracuję”, bo w zimie nie było dla nas pracy. Jeszcze na tej fermie to nie było pracy, tylko w lato się pracowało, a zimę, to... A jak nie robota, tak nie kuszysz, wiadomo. I mówię, że: „Nie pracuję, bo dla nas nie ma pracy”. I mówi: „Jak to nie masz pracy?”. Ja mówię: „Tak, bo byłam u brygadiera, prosiłam, że nie mamy z czego żyć, żeby mi jakąś pracę dał, a powiedział mi na to: [Problajuszcze, niezrozumiałe, 00:42:11]”. Jak z nim pójde gulać, to będę miała chleb. I mówię: „To nie poszłam na to”. I mówi: „Tak? Tak ci powiedział?”. No i dobrze, odwieźli mnie do fermy, minęło parę dni i ku mojemu zdumieniu do naszej tej walącej się izbuszki wkracza tenżesz mężczyzna, który mnie podwoził i razem z brygadierem moim z sowchozu, i mówi: „Ty tak powiedziałaś tej dziewczynie?”. No, on tam coś zaczął wykręcać się. Mówi: „To wobec tego, na wiosnę jak zechcesz ludzi do pracy, to ja ci to przypomnę. A teraz ją weźmiemy na kurs traktorzystów do Czornego”. I w ten sposób ja trafiłam do Czornego, do tego sowchozu, gdzie nas przywieźli, trafiłam na kurs traktorzystów, który trwał trzy miesiące i dawał uprawnienia pracy na traktorach i zwykłych, i gąsienicowych. I po trzymiesięcznym kursie uzyskałam tytuł traktorzysty, tylko zaświadczenia nie mam, dlatego, że jak mieliśmy wracać do Polski, to moja mama to zniszczyła, bo uważała, że jak wrócimy do Polski, to mogą mi kazać pracować na traktorze. Tak sobie ludzie tłumaczyli, więc wobec tego zostało to zniszczone. I wobec tego poszłam do Czornego, obeszłam całą wieś i znalazłam sobie mieszkanie u takiej kobiety, Krasnoarmieński, której mąż zresztą później zginął na froncie pod Stalingradem i ona nas przyjęła do siebie na mieszkanie. I tu wreszcie miałyśmy jakieś znośne warunki, jeśli można to nazwać „znośne”. Bo miała jedną izbę, czworo dzieci, nas dwie, jeszcze jedna pani Polka mieszkała i w kącie całą zimę stało cielę. Dlatego, że cielę, jak by się urodziło późną jesienią, to by w zimie zamarzło, wobec tego w tej izbie stała ławka i za tą ławką stało ciele i dwa koty. Można sobie wyobrazić, jakie to były warunki mieszkaniowe. Ale choć przynajmniej miałyśmy normalny dach nad głową i następną zimę już nocowałyśmy, mieszkaliśmy w tym Czornem. Ja ten kurs skończyłam i od następnej wiosny już jako traktorzystka poszłam w step z traktorami. To się wyjeżdżało, tam zima trwa bardzo długo, zima zaczynała się już pod koniec października, w październiku to już śniegi i trwała do pierwszych dni maja. I właściwie słońce wyszło, wiatr powiał i te straszne śniegi, które domy zawały pod dach zniknęły momentalnie i w ciągu tygodnia było ciepło, wiosna. I pierwsza praca to była najpierw orka. Jechało się najpierw orać, siać, a później na sianokosy, a później na chleboborkę, czyli na żniwa. I tak już pracowałam przez te ostatnie cztery lata na tym traktorze. Praca była bardzo ciężka, brudna, nie było w co się ubrać. Dlatego, że to wszystko było nasiąknięte smarami. Ani uprać, ani zmiany żadnej. Ale było ciepło, słońce zaglądało. Jedzenie było marne. Jakieś zawsze zupiny dawali i te 50 deko chleba, który się dostawało, ale praca ponad siły. Zaczynało się o wschodzie słońca, noce bardzo krótkie, więc kończyło się w nocy właściwie pracą. Komary, meszki, które nas zjadały. O tym, żeby w nocy usnąć, to trzeba było najpierw wykopać cztery dołki, nanosić kiziaku do nich, właśnie tego suszonego nawozu, zapalić to, tu się położyć i nakryć się jakąś płachtą. I nad sobą się słyszało szum dosłownie komarów i meszki, bo to... I to z której strony wiatr powiał, to ten dym nanosił na siebie i dzięki temu jako tako można było... Ale komary tego. Zwłaszcza jak nad Irtyszem się pracowało, to było trudno sobie wyobrazić, ale te lata wspominam ciężkiej pracy, ale jakichś i lepszych odrobinę warunków, bo właśnie mówię, tam to była zima, mróz, śnieg, głód, a tutaj to ciężka harówka, potworna, też głód, ale już troszkę lepsze warunki. I tak przez cztery lata przeżyliśmy. W zimie, to tak jak mówię, mieszkaliśmy u tej Gali Parszukowej, która była bardzo sympatyczną kobietą, dobrą, była biedna strasznie. Z tą czwórką małych dzieci była bardzo... Sama nie miała, miała krowę, której nie miała czym karmić. To by to ona podoiła w ciągu dnia litr, półtora mleka, to jak

miała czwórkę dzieci, to oczywiście tym dzieciom. I myśmy u niej mieszkały właściwie nie płacąc, bo nie miałyśmy czym zresztą płacić, ale taka była umowa, że wtedy ona była jako... pracowała jako salowa w izbie porodowej i szła na nocne zmiany, to jej było dobrze, że ktoś zostaje w domu, te dzieci nie są same. A jednocześnie ja miałam obowiązek nanosić wodę z rzeki, bo tam się z rzeki, z tej Czarnej nosiło, z dołu, potem do góry się na koromysłach trzeba było przynosić. To ja miałam obowiązek nanosić do tego domu wody i zapewnić oświetlenie. A oświetlenie to polegało na tym, że trzeba było ukraść i nanosić przez całe lato, troszeczkę, po troszeczkę nafty, bo cała wieś była oświetlona, a nikt nikomu nigdy nie sprzedał dosłownie naporstka nafty, więc każdy musiał ukraść. I teraz ja zawsze miałam przy sobie malusieńką buteleczkę, taką, jak to u nas były syropy czy coś, taka płaska. I jak dostawałam na przykład do mycia części, naftę, bo naftą się myło, to napełniałam i to zbierałam, żeby na zimę było oświetlenie. A w zimie oświetlenie to była buteleczka z knocikiem zrobionym z włóczki i dwie takie lampeczki, to było oświetlenie domu. I to myśmy właściwie za to u niej mieszkały. Za tę wodę, za ten karasin, za tę naftę ukradzioną, że tak powiem i za to, że mama pilnowała tych jej dzieci. Nauczyłam się prząść, więc... Bo trzeba było jakoś żyć. Jedzenie tak jak mówię, dawali nam te 50 deko chleba, a ja na mamę niepracującą, bo o tym, żeby druga pracowała nie było mowy, bo wszystko ubranie, to zakładała osoba, która wychodziła z tego domu. Zresztą, co miałam na nogi ubrane? O tym, żeby kupić pimą, to znaczy walonki, nie było mowy. Walonki kosztowały do 300 rubli. To teraz jak ja zarabiałam przez cały miesiąc 200, w garażu pracując od świtu do nocy, to o tym, żebym sobie kupiła walonki nie było mowy. Wobec tego robione na drutach takie z wełny, z włóczki, robione kaptcie, podszyte przez takiego pana Polaka, który umiał trochę szewstwo, podszyty kawałkiem pasa transmisyjnego, ukradzonego zresztą, podszyty tym, a na wierzch tylko szmatami jeszcze zawiązane nogi, a mróz do 40 stopni. Więc w tym szłam do pracy. O tym, żeby mama już szła, to nie było mowy. Ja była młoda. Jakby nie było jeszcze ktoś mi mówił, muszę pracować. Bo mogła i matka, ale to nie było w co ubrać. I teraz dlatego brałam, przynosiły mi Kazaszki, bo one kradły zresztą, przynosiły mi wełnę, bo one pracując przy stadach owiec, skubały te owce i przynosiły całe worki tej włóczki. To ja ją musiałam poskubać, sprząść i zrobić z tego sweter czy co tam sobie życzyłam. I teraz za to na przykład... Zrobienie swetra od włóczki, od poskubania do skończenia to zajmowało mi miesiąc, półtora miesiąca. I za to mogłam dostać, powiedzmy pół wiadra otrębów. Więc też niewiele, ale jakoś. Aha, i teraz skąd miałam tę włóczkę? Jak przynosiła mi kobieta, to ja się umawiałam, że czy mogę to, co mi zostanie, ten kłębek jakiś coś, sobie zostawić. I ona mi to za robotę dawała. I ja robiłam przez to sobie, ja miałam później jakiś sweter, co tam można. A głównie za te kaptcie, pantofle, buty, odzież robiłam sobie. Tak że...